

U Merkel jak u Orwella

Agnieszka Ewa Wolska

Angela Merkel, która tak chętnie upomina się o poszanowanie wolności słowa w Polsce czy na Węgrzech, we własnym kraju od miesięcy wspiera dyktaturę politycznej poprawności.

Jakby tego było mało, podległe Merkel ministerstwo sprawiedliwości planuje teraz wprowadzenie „chińskiego modelu” cenzury w internecie z drakońskimi karami finansowymi za rozpowszechnianie tzw. fake news i hejtu.

„Żyjemy znowu jak w czasach faszystowskiej dyktatury według wzoru znanego z 1933 roku. Różnica polega tylko na tym, że dzisiejsi „naziści” to opętani ideą pomocy uchodźcom „Gutmenschen” („dobrzy ludzie”, „poczcivcy” – tłum.) oraz aspołeczni i zanarchizowani „antyfaszyści”. Kto odważy się powiedzieć niewygodną prawdę, jest prześladowany. Pani Merkel i jej otoczenie nagminnie łamią prawo, wspierają obywatelską denuncjację, finansują kontrolujące przekonania instytucje, w których nierzadko byli współpracownicy STASI pełnią kierownicze funkcje” – napisała w pożegnalnym eseju pt. „Ten kraj jest bezpowrotnie stracony” liberalna publicystka, bloggerka Susane Kablitz. 12 lutego tego roku Kablitz odebrała sobie życie.

Wizje liberalnej publicystki, w których m.in. byli funkcjonariusze zbrodniczej NRD-owskiej policji politycznej stają się gorliwymi tropicielami prawicowego ekstremizmu, to dziś niemal stały element życia publicznego w RFN, o czym na łamach Euroislamizmu pisaliśmy także [w ubiegłym roku](#).

Wystarczy przyjrzeć się bliżej utworzonej przed rokiem inicjatywie ds. kontroli w internecie „Die Initiative für Zivilcourage Online” (Inicjatywa odwagi cywilnej – online) – stawiającej sobie za cel „walkę z ekstremizmem i hejtem w sieci”.

Facebook wyraził zgodę na tego rodzaju praktyki w stosunku do własnych użytkowników, ulegając osobistym naciskom ze strony kanclerz Merkel jak i innych przedstawicieli obecnego rządu CDU/CSU i SPD.

Koordinację przedsięwzięcia powierzono berlińskiej Fundacji Antonio-Amadeu (Amadeu-Antonio Stiftung) wyspecjalizowanej w tropieniu tzw. „prawicowego ekstremizmu”. Fundację, mającą do dyspozycji budżet w wysokości 1,5 mln euro, założyła córka NRD-owskich aparatczyków Anetta Kahane, wcześniej m.in. aktywna jako rzecznik władz Berlina do spraw obcokrajowców. Gdy wyszło na jaw, że w okresie NRD, pracując jako tłumaczka, donosiła na znajomych oraz prominentów ze świata kultury i nauki, została zmuszona do ustąpienia z tej funkcji.



Anetta Kahane; grafika: Politically Incorrect

Fundacja kierowana przez Anette Kahane uaktywniła się w momencie otwarcia niemieckich granic i masowego napływu islamskich migrantów, tropiąc zwłaszcza przejawy „islamofobii” oraz hejtu w stosunku do uchodźców. Wykreowana przez Antonio-Amadeu „Sieć przeciwko nazistom”, od miesiący należy do specjalnego sztabu kryzysowego, jaki do zwalczania „mowy nienawiści” powołał minister sprawiedliwości Heiko Maas (SPD), a sama Kahane należy do ścisłego grona ekspertów doradzających ministrowi.

Blisko 80 procent podpaleń domów dla azylantów w Niemczech wcale nie miało podłoża rasistowskiego, lecz zostało spowodowane, często umyślnie, przez samych „uchodźców”. Walka z „islamofobią” i mową nienawiści wobec tzw. uchodźców stała się w RFN intratnym biznesem. Jego mechanizmy opisywał niedawno na swoich łamach, zresztą z pełną aprobatą, tygodnik „Der Spiegel” (nr 7/2017) na przykładzie „Jugnedschutz.net” (Straż młodzieży) z Moguncji. Zadaniem tej powołanej 8 lat temu inicjatywy była pierwotnie wyłącznie ochrona dzieci i młodzieży przed pornografią i seksualnym mobbingiem w sieci.

Jeszcze do niedawna, jak podaje „Spiegel”, jednostka każdego roku „musiała drżeć z obawy, czy otrzyma dostateczne finansowe wsparcie ze strony państwa na swoją statutową działalność”. Dziś, jako wyspecjalizowana grupa do zwalczania „mowy nienawiści”, nie tylko może cieszyć się pewnymi etatami dla swych pracowników, ale stała się także ciałem opiniotwórczym dla minister d/s. rodziny Manuela Schwesing (SPD). Szef „Jungenschutz.net” Friedmann Schindler niedawno był zaproszony przez Schwesing do Berlina, by przedstawić swój „Raport na temat ekstremizmu i neonazizmu w internecie”.

Złudzeń co do charakteru tej działalności wspieranej przez berlińskie elity i publiczne media nie pozostawia czołowy w Niemczech krytyk islamu, pochodzący z Libanu dziennikarz Imad Karim: „Nigdy w życiu nie spotkałem owych mitycznych nazistów, przed którymi mnie od lat tak ostrzegają niemieckie media” – skomentował ironicznie w wywiadzie dla jednego z prywatnych nadawców. Karim wskazał, że te same media, szukające wszędzie prawicowych radykałów, niechętnie piszą o tym, że blisko 80 procent wszystkich podpałek domów dla azylantów, do jakich dotąd doszło w RFN, wcale nie miało podłoża rasistowskiego, lecz zostało spowodowane, często umyślnie, przez samych „uchodźców”.



Imad Karim

Karim, który biegle włada arabskim i do miesięcy systematycznie obserwuje portale społecznościowe azylantów z Bliskiego Wschodu w RFN, ostrzegał wielokrotnie, że to ci ludzie posługują się prawdziwą mową nienawiści. „Na swoich zamkniętych grupach na Facebooku publikują najohydniejsze obelgi i groźby pod adresem chrześcijan, żydów czy osób o homoseksualnej orientacji. To ich wypowiedzi powinny znaleźć się pod lupą władz, bo stanowią rzeczywiste zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju” – pisał.

Karim za swoje bezkompromisowe oceny jest notorycznie, pod byle pretekstem, blokowany przez administrację FB. Ostatnia, kwietniowa blokada wywołała duże poruszenie wśród internautów, którzy spontanicznie rozpoczęli w sieci akcję „uwolnić Karima”. Uczestnicząca w proteście polityk AfD z Badenii Wirtembergii dr Alice Weidel napisała „Maas (min. sprawiedliwsci) i Kahane (była szpicel STASI) zaatakowali w stylu NRD-bis. To atak na wolność słowa i demokrację. Uwolnijcie Karima!”.

Podobnej blokady doświadczyła też niedawno niemiecka adwokat i konserwatywna blogerka Karoline Seibt, której profil cieszy się sympatią tysięcy abonentów. Sama autorka przypuszcza, że powodem był post i ironiczny komentarz do artykułu z „Die Welt” na temat łączenia rodzin islamskich uchodźców w Niemczech.

Bez żadnych natomiast przeszkód i prawnych konsekwencji, od tygodni lewicowcy i anarchiści prowadzą kampanie zastraszania pracowników i dyrekcji hotelu Maritim w Kolonii, za to, że zezwolili na wynajem sali antyislamskiej „Alternatywie dla Niemiec” (AfD). „Nie przychodźcie 22 kwietnia do pracy, bo i tak spalimy tę budę,” – grozili za pośrednictwem mediów społecznościowych „nieznani sprawcy”. Dyrekcja Maritim w Kolonii pozostała wprawdzie nieugięta i nie wycofała zgody na wynajem, ale ogólnoniemieckie kierownictwo renomowanej sieci hotelowej już zapowiedziało, że nigdy więcej nie udostępni AfD swych pomieszczeń, mimo że ta jest legalnie działającą partią polityczną.

W dniach poprzedzających spotkanie AfD w Kolonii, jak i samego 22 kwietnia, z inicjatywy różnych lewicowych formacji przez miasto ma przejść kilkanaście wielotysięcznych kontrdemonstracji pod hasłami „walki z rasizmem, nietolerancją i prawicowym ekstremizmem”. Policję czeka nie notowane w historii miasta wyzwanie – 22 kwietnia bezpieczeństwa protestujących, a przede wszystkim uczestników zebrania AfD, ma strzec ponad cztery tysiące policjantów. Dla porównania,

ostatniego sylwestra w Kolonii zabezpieczało 1800 mundurowych.

Sympatycy Antify i lewicowcy, z cichym poparciem takich ugrupowań jak Zieloni, Lewica i SPD, a także czołowych mediów, od miesięcy dopuszczają się ekscesów i medialnego psychoterroru wobec inaczej myślących.



Ale nie tylko oni. Ostatnio plakaty do udziału w proteście przeciwko domniemanym „rasistom” z AfD wywiesili pracownicy młodzieżowego biura „Caritas” w kolońskiej dzielnicy Eherenfeld, a ulotki o podobnej treści adresowane do młodzieży, rozdawano uczniom jednej z renomowanych katolickich szkół średnich w Kolonii.

Także wysocy rangą kościelni hierarchowie nagminnie upominają niemieckich katolików wskazując, że głosowanie na AfD sprzeciwia się społecznemu nauczaniu kościoła. Zwierzchnik arcybiskupstwa Kolonii, kardynał Reiner Maria Woelki powiedział niedawno: „Kto jest za kościelnymi wieżami w naszych miastach, ten musi się zgodzić na muzłamańskie minarety”. Zdaniem tego hierarchy wierzący nie powinni popierać ugrupowania głoszącego jawnie antyislamski program. O tym, że AfD jest jedyną niemiecką partią domagającą się zaostrzenia przepisów aborcyjnych, oraz sprzeciwającą się ideologii gender czy ministerialnym programom seksualizacji dzieci i młodzieży, duchowni w RFN dyskretnie milczą.



Kard. Woelki

W ubiegłym roku jeden z kolońskich proboszczów został zmuszony przez swoich zwierzchników do przeformułowania i publicznego sprostowania kazania, w którym skrytykował wyznawców islamu za ich nietolerancję i nienawiść wobec chrześcijan.

Od dawna łatwego życia nie mają w RFN autorzy krytyczni wobec

islamu i polityki migracyjnej prowadzonej przez gabinet Merkel. Publiczna banicja spotkała autora i publicystę tureckiego pochodzenia Akifa Pirincciego, któremu za wystąpienie podczas demonstracji „Pegidy” w styczniu 2016 roku, wydawca, a także sieć Amazon wypowiedziały umowy na dystrybucję i dalsze wydania książek. Ostatnio jeden z niemieckich banków poinformował Pirincciego, że likwiduje mu jego konto.

Thilo Sarazzin, polityk SPD i autor krytycznego wobec islamu bestselleru z 2010 „Niemcy, samolikwidacja”, stale jest narażony na konfrontację z lewicowymi bojówkarzami – ostatnio właścicielom winiarni w Düsseldorfie, którzy zaprosili popularnego autora na promocję jego najnowszej książki pt. „Myślenie życzeniowe”, zagrożono zdemolowaniem lokalu, jeżeli umożliwią „rasiście Sarazzinowi” publiczne wystąpienie i spotkanie z czytelnikami. Podobne doświadczenia „występów” lewicowych chuliganów na swoich autorskich spotkaniach ma też konserwatywna publicystka Birgitt Kelle (Focus, Die Welt) od lat angażująca się na rzecz dyskusji o „islamizacji” Niemiec.

Konserwatywno-liberalny tygodnik „Junge Freiheit” kilka tygodni temu zajmował się na swoich łamach sytuacją na niemieckich uczelniach, szeroko opisując „dyktaturę grup studenckich sympatyzujących z lewicą”. Ich specjalnością stały się zadymy na wykładach „konserwatywnych” naukowców, a także zastraszanie i internetowe szczucie na innych członków wspólnoty akademickiej, zwłaszcza z konkurencyjnych zrzeszeń katolickich.

Eskalacja tego rodzaju zachowań i prób „uciszania” inaczej myślących w Niemczech przypada na wybuch kryzysu migracyjnego. Do dziś każdy, kto publicznie ośmieli się krytykować decyzje Merkel o otwarciu granic i dopuszczeniu do niekontrolowanej migracji z krajów islamskich, od razu klasyfikowany jest jako prawicowy radykał, albo wręcz neonazista. Znany publicysta i dziennikarz katolicki Matthias Mattusek z dnia na dzień stracił swój felieton w „Die Welt”, gdy po zamachach w Paryżu

w 2015 roku wyraził nadzieję, iż dramatyczne wydarzenia w stolicy Francji „skierują także w Niemczech na nowe tory debatę dotyczącą otwartych granic i wpuszczenia setek tysięcy nierejestrowanych młodych muzułmańskich mężczyzn”.

Zorganizowanych kampanii zniesławiania doświadczyli też ostatnio m.in. popularny publicysta żydowskiego pochodzenia Henryk Broder, a także Roland Tichy, współtwórca portalu ogłoszeniowego XING, wydawca i renomowany dziennikarz gospodarczy. W obu tych przypadkach berlińska agencja reklamowa, nota bene prowadzona przez członka SPD, wzywała swoich klientów, żeby nie zamieszczali reklam na blogach prowadzonych przez obu autorów. Celem ataku było szkodenie niezależnym przedsiębiorstwom gospodarczym osób jawnie krytycznych wobec kursu politycznego władz w Berlinie.

O ile wiodące gazety i publiczni nadawcy konsekwentnie opowiadają się za tzw. „jasnymi Niemcami” wpierając kurs „Wilkommenskultur” kanclerz Merkel (nawiązanie do okładki tygodnika SPIEGEL symbolizującej otwarte na przybyszów i tolerancyjne Niemcy), o tyle internet i media społecznościowe, zwłaszcza do czasów wydarzeń kolońskiego Sylwestra 2015, stały się główną platformą wymiany myśli i informacji dla tej znaczącej części niemieckiej opinii publicznej, która nie czuje się rzetelnie informowana o sytuacji w kraju.



„Spiegel”: „Jasne Niemcy” i „Ciemne Niemcy”

Przywołując polskie doświadczenia okresu stanu wojennego można nawet pokusić się o porównanie, że w RFN powstał szeroki „drugi obieg”, który dzięki nowoczesnej technice nie tylko zyskuje odbiorców, ale powoli staje się zagrożeniem dla rządzącego układu polityczno – medialnego.

Perspektywa jesiennych wyborów parlamentarnych postawiła berlińskie elity w stan alarmu. Z jednej strony wydaje się arbitralnie kolejne setki milionów euro na wspieranie

organizacji monitorujących rzekome zagrożenie ze strony tzw. „prawicowych ekstremistów”, z drugiej sięga się po rozwiązania prawne, które mają ukrócić internetową swobodę komunikacji. Wszystko pod hasłem walki z „mową nienawiści” oraz kampanii przeciwko dezinformacji czyli tzw. „fake news”.

Niemiecki medioznawca, profesor berlińskiego Uniwersytetu Technicznego Norbert Bolz mówi wprost: „To media społecznościowe doprowadziły do tego, że skazana przez mainstream na milczenie większość Niemców znajduje coraz to nowe formy obrony przed swoistą „dyktaturą myśli”. Mało tego, ci, którzy dotąd stali na uboczu nagle dostrzegają, że wcale nie są osamotnieni. To szczególnie wywołuje wściekłość wśród reprezentantów klasycznych mediów i ich historyczne reakcje”.

Sojusznikiem wydaje się teraz dla nich ministerstwo sprawiedliwości, kierowane przez wywodzącego się z SPD Heiko Maasa. To w tym resorcie od tygodni intensywnie pracuje się nad projektem ustawy, która ma zapobiegać szerzeniu tzw. mowy nienawiści i dezinformacji.

Redakcja „Junge Freiheit” (nr 13/2017) artykuł na ten temat opatrzyła tytułem – „Znowu mamy cenzurę”. Według planów ministerstwa wszystkie media społecznościowe będą zobowiązane do usuwania w przeciągu 24 godzin treści godzących w tzw. porządek prawny. W przypadku niejednoznacznej oceny wpisu czy informacji termin może zostać przedłużony, ale maksymalnie do 7 dni. Brak reakcji, czyli nie usunięcie kwestionowanych wpisów będzie skutkowało do 5 mln euro grzywny dla osób prywatnych, zaś w przypadku administratorów i właścicieli portali nawet do 50 milionów.

Obowiązek taki ma według projektodawców zaistnieć już w wypadku samego podejrzenia naruszenia reguł, a nie dopiero po złamaniu obowiązującego prawa. Dotąd prawodawstwo niemieckie przewidywało sankcje tylko w wypadkach rażącego naruszenia norm. Teraz urzędnicy ministerialni postanowili ten zakres „czynu karalnego” w przypadku „mowy nienawiści” radykalnie

poszerzyć.

Krytycy nowych rozwiązań firmowanych przez ministra Maasa ostrzegają przed próbą odgórnego narzucenia „chińskiego modelu” cenzury w internecie, oraz nie tyle chęci rzeczywistego karania za popełnienie przestępstwa, co przede wszystkim zastraszania niepokornych. Zwraca się przy tym uwagę, że zapisy nie odnoszą się np. w ogóle do ciężkiej pornografii, także z udziałem dzieci, która od lat dosłownie zalewa niemiecki internet.

Nawet znany z lewicowych sympatii berliński dziennik „Tagesspiegel” oceniając obecny projekt „cenzury prewencyjnej” nie zawahał się przywołać pojęcia „dyktatury myśli”, którą na kartach swej powieści „Rok 1984” tak sugestywnie opisywał niegdyś George Orwell.

Krytycy ministerialnych pomysłów przypominają, że obowiązujące obecnie zapisy w zupełności wystarczają do ukarania ukarać tych, którzy świadomie przekraczają dopuszczalne granice. Konkretne przypadki opisywał niedawno „Der Spiegel” (nr 7/2017). Autor następującego wpisu: „Mamuśka Merkel powinna zostać publicznie ukamieniowana”, musiał zapłacić 2 tys. euro grzywny i pracować przez 80 dni na cele publiczne. Dla innego użytkownika FB stwierdzenie: „Azylanci – fachowe siły robocze? Wydalić, albo Cyklon B. 75 lat temu także był dobry!” skutkowało pięcioma miesiącami aresztu w zawieszeniu. Autor opinii: „Jestem za tym, żeby ponownie uruchomić komory gazowe i ten cały islamski pomiot tam wsadzić” musi przepracować 120 dni i zapłacić grzywnę w wysokości blisko 5 tys. euro – tyle wynoszą obecnie w RFN cztery najniższe miesięczne pensje.

Popularny niemiecki publicysta i teolog David Berger tak odniósł się na swoim blogu „Philosophia perennis” <https://philosophia-perennis.com/> do obecnych planów ministerstwa sprawiedliwości: „Państwo niemieckie, które w przypadku najcięższych przestępstw jest żałośnie nieskuteczne, które toleruje i przyzwala na idące w miliony przypadki

naruszeń prawa tłumacząc się niemożnością działania, państwo, w którym postępowania karne trwają nawet latami, równocześnie w tym przypadku zobowiązuje przedsiębiorców do natychmiastowego egzekwowania przepisów. Media społecznościowe są w naszym stuleciu głównym miejscem wymiany myśli i informacji. Kto panuje nad swobodą publicznej wypowiedzi, punktuje zdobywając głosy w demokratycznej rywalizacji. Działania ministerstwa pod kierownictwem Heike Maasa prowadzą do tego, że wolność słowa zostanie w Niemczech znacząco ograniczona”.

Także przedstawiciele niemieckiego „Stowarzyszenia Wydawców Prasowych” (VDZ) uznali plany resortu za próbę „państwowego wprowadzenie prywatnej policji myśli”.

Projekt nowych regulacji został tuż przed Wielkanocą zaakceptowany przez niemiecki rząd. Gabinet Angeli Merkel oczekuje, że parlament przyjmie ustawę jeszcze przed upływem kadencji, tak by nowe prawo zaczęło obowiązywać przed jesiennymi wyborami do Bundestagu.

Źródła:

<https://jungefreiheit.de/>

<https://philosophia-perennis.com/>

<http://www.spiegel.de/>